

## JANINA JARZYNA

ur. 1930; Brześć nad Bugiem



Miejsce i czas wydarzeń	Potok Wielki, II wojna światowa
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, II wojna światowa, Potok Wielki, dom rodzinny, rodzina, dzieciństwo, życie codzienne, warunki bytowe, okupacja niemiecka, represje niemieckie, konspiracja antyhitlerowska, ruch oporu, Armia Krajowa, niemieckie więzienie na Zamku Lubelskim, wyzwolenie, pobyt w niemieckich obozach koncentracyjnych

### Wspomnienia okupacyjne ze wsi Potok Wielki

Piękne są wspomnienia z tego okresu, i smutne. Piękne dlatego, że człowiek był młody. Bardzo dużo młodzieży było na tej wsi – z różnych powodów. I mieszkańcy tej wsi. I ludzie, którzy zostali z jakichś powodów rzućni, tak jak my, w te strony. Albo rodzina, albo jakieś inne względy. Dostaliśmy tam od gminy jakiś pokoik, zresztą makabryczny. Jeszcze na początku ojciec mój był naczelnikiem poczty, w dalszym ciągu kontynuował swoją pracę, swój zawód. Ponieważ tutaj znaleźliśmy się w ogóle z ojcem. Ojciec uciekł pierwszy z terenów obecnej Białorusi, a dawniej Kresów polskich i tutaj zaczął pracę jako człowiek, który się na tym znał. Wtedy mieszkaliśmy przy poczcie w takim malusieńkim pokoju, z którego wychodziło się na zewnątrz przez okno. Nie było innej możliwości. Przez urząd pocztowy nie bardzo można było, bo było daleko. My natomiast postawiliśmy ławkę z jednej strony i z drugiej, i przechodziło się przez okno, wnosząc wodę ze studni. Ale to są drobiazgi. I tamże mój ojciec został członkiem AK. Z tym że oczywiście, ponieważ ja i mój brat byliśmy jeszcze zbyt mali, żeby nas w jakieś tam sprawy wtajemniczać, ukrywał to przed nami, dziećmi, przed całą rodziną. Pracowała z tatą również mamy siostra, wtedy też została chyba przez ojca wciągnięta do organizacji. Wiem tylko, że my, jako młodzi, czasami mieliśmy coś do zanieśienia. Do księdza, do kierownika szkoły, do kogoś jeszcze. Oczywiście ojciec nam to dawał zapakowane i mówił, żeby zanieść. Podejrzewam, że to były sprawy związane właśnie z tą organizacją. I w roku 1942, nagle, w nocy, otoczona została calusienka wieś. Sto osób z tej wsi wyprowadzono z domu na taki plac ogromny. Byli to głównie mężczyźni i tylko jedna jedyna osoba, to była właśnie mamy siostra, ponieważ pracowała z ojcem. Prawdopodobnie miała swój udział również w organizacji. Tego nie wiem na pewno, ale tak przypuszczam.

Wtedy została przeprowadzona u nas w domu rewizja, bardzo byliśmy zdziwieni z bratem, bo od tego zaczęli, że [sprawdzili] popiół w piecu, w którym gotowaliśmy, paliliśmy, ogrzewając mieszkanie, grzebano najpierw w popiele. Czyli podejrzewam, że chodziło o to, czy nie zostały spalone jakieś dokumenty. No i wszyscy ci ludzie, ta setka ludzi, została wywieziona na Zamek [w Lublinie]. Jeszcze przed tym matka z bratem przeszła w pobliżu tego całego zgromadzenia. Oczywiście, były to bardzo smutne pożegnania – z daleka, nie wolno było podchodzić. I tak się zaczęła mojej matki gehenna. Miała na utrzymaniu dwójkę dzieci, nie miała żadnych pieniędzy. Jedyne pieniądze, które zdołała jeszcze uratować i przewieźć, bo na granicy zabrano nam biżuterię, pieniądze, gdzieś tam, za pomocą mojego brata, [zostały] schowane i pierwszą rzecz, którą zrobiła, to kupiła krowę. Żebyśmy mieli co jeść. Bo jej w domu już od tego momentu nigdy prawie nie było. A było to tak, że mama miała możliwość, bo miała rower, to wtedy była też wielka sprawa na wsi. I tym rowerem jeździła z paczkami na Zamek w [Lublinie], dla tych wszystkich ludzi, którzy zostali aresztowani. Wszyscy sąsiedzi zresztą pamiętają do dzisiaj, bo ja tam jeżdżę do tej wsi. Mam sentyment po prostu, jak to dziecko – zawsze wraca do miejsc swojego dzieciństwa. I tamci ludzie pamiętają mamę z tego, że matka im wozila te paczki na zamek. Wolno było jeszcze wtedy przywieźć te paczki. No i były tam bardzo, bardzo smutne historie, ponieważ w tej gromadzie ludzi również znalazł się i brat mojej mamy rodzony, i brat cioteczny. Brat rodzony bardzo zachorował i jakimś cudem dał mamie znać, przez kogoś, nie wiem, już tego nie wiem. Tylko wiem, że mama stanęła na głowie, objeżdżała wszystkich znajomych, wszystkie okoliczne miejscowości w poszukiwaniu lekarza, który by jej pomógł w zdobyciu leków. I tam jeździła, wozila – poza paczkami – lekarstwa.

Brat jeszcze czasami pomagał. Brat był w ogóle operatywniejszy ode mnie. Ja byłam bardzo lękliwa kobitka mała. Bałam się partyzantów, bałam się wszystkiego. Oni wozili. To było w ten sposób, że oni to pakowali do worków, bo to były określone ilości, to znaczy nie można było sobie o tak paczkę zrobić, tylko to były wymiary. Te worki były przywiązywane do dwóch ramion roweru, i jeszcze na bagażniku, czyli to było sporo. No, nie zawsze może dla wszystkich, ale ci, którzy chcieli to na pewno wysyłali i mama je dowoziła. Miała bardzo różne przygody, podrabiała przepustkę na przykład. Dostała jakąś tam przepustkę, że musi jeździć do doktora czy gdzieś tam i jeździła do Modliborzyc, to było takie najbliższe miasteczko, gdzie był lekarz i on jej wypisał takie zaświadczenie, a później go piętnaście razy przerabiała. Coś tam wydrapywali z bratem, coś dopisywali i ta przepustka musiała być, bo inaczej by nie mogła jeździć.

Później zaczęto zwalniać niektórych ludzi, którzy nie byli prawdopodobnie w organizacji, tego też nie wiem. Natomiast ojciec poprosił mamę, żeby [dostarczała] warzywa, owoce i tłuszcz jakiś, cebula. No i myśmy wtedy przemycali do niego

grypsy z bratem. W groszku cukrowym. Zdejmowało się jakoś to dzielone, to które zabezpieczało podzielenie tych dwóch połówek z groszku. Wkładało się bardzo drobnutko pisany gryps i steryną się zalewało, i w ten sposób ojciec otrzymywał od nas grypsy. Ale niestety, nie był tutaj długo, to trwało parę miesięcy, bo w maju było to aresztowanie, natomiast w jesieni już wywieźli go do Oświęcimia. Z Oświęcimia do Buchenwaldu. I w Buchenwaldzie przetrwał aż do wyzwolenia przez wojska rosyjskie. Dlatego ja, niestety, może to nie będzie popularne, ale mam dług wdzięczności, ponieważ ojciec mógł wrócić dzięki Armii Radzieckiej. Też bardzo dziwna historia, którą powiem, bo jest to na pewno jakieś zrządzenie losu i opieka Pana Boga. My z bratem codziennie byliśmy w kościele, przyjmowaliśmy komunię, modliliśmy się o ojca. Cała wieś o tym mówiła, że jeżeli nie wyjdzie Szczudłowski z tego obozu, to nie ma Boga, jak to wieś mówi. Ale wyszedł. Właśnie dzięki naszym modlitwom, dzięki swojemu chyba przeznaczeniu również, bo ojciec nam opowiadał okrutne rzeczy, jak wracał, a wracało bidactwo w uniformie niemieckiego żołnierza, po prostu SS-mana, bo nie miał ubrania, nie chciał iść w pasiakach, a nikt mu nie chciał dać. Tam, gdzie wstępował do ludzi, to ludzie klękali przed nim, bo to zwykle były rodziny niemieckie i prosili, żeby ich nie zabijał, żeby im nie zabierał. I ojciec nie zabierał i szedł. Zdjął [ubranie] z jakiegoś nieboszczyka i przyszedł w tym mundurze, robiąc oczywiście ogólną sensację. No i potem znowu wrócił na pocztę. Już wtedy pracował w dyrekcji poczty. A myśmy chodzili do szkoły we dwoje.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2006-08-18, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"